

KATARZYNA  
JANUS

*Witaj,  
Prowansjo!*

Bezkresne pola lawendy, francuska kuchnia,  
słońce i kobieca przyjaźń ponad wszystko



FILIA



KATARZYNA  
JANUS

*Witaj,  
Prowansjo!*

FILIA



*Aby poznać człowieka, trzeba zostać  
jego towarzyszem podróży.  
prysłowie tureckie*

Wbrew pozorom postaci występujące w tej powieści nie mają swoich pierwowzorów w rzeczywistości. Wszelkie podobieństwa do kogokolwiek są zupełnie przypadkowe.

*Dziewczyny,  
ta powieść jest dla Was!*





## ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Ahoj, przygodo! – zawołała raźno Helena, zasiadając za kierownicą swojego ukochanego bmw X1.

– Ahoj! – z równym entuzjazmem odpowiedziały jej pozostałe dziewczyny.

Dziewczyny to może zbyt optymistycznie powiedziane, bo dziewczynami już od jakiegoś czasu być przestały. Wszystkie cztery były raczej „ryczącymi czterdziestkami”, jak trywialnie co niektórzy określają takie jak one. Takie, czyli kobiety, które jeszcze są dość atrakcyjne, ale czują już depczący im po piętach, powoli zbliżający się wiek podeszły, żeby nie powiedzieć starość, i które starają się wykorzystać pozostały im czas, aby czerpać z tego życia pełnymi garściami. Oczywiście na ile się da. I oczywiście kiedy się da.

Ale istnieje jeszcze inna osobliwość, którą określa się tą samą nazwą, „ryczącymi czterdziestkami”. Kiedyś, na jednym z ich babskich spotkań, które żartobliwie nazywały sabatami lub zlotami czarownic, gdy właśnie kończyły opróżnić drugą butelkę różowego Carlo Rossi i siedziały w kultowym klubie o wdzięcznej nazwie Ulubiony Raj, a który to klub w szczególności upodobali sobie single i singielki, roztrząsały to określenie. Chwilę temu nazwał je tym epitetem jeden z mocno zawianych gości, wyglądający trochę jak zezowaty karzełek, kiedy akurat odmówiły mu zgody na zajęcie miejsca przy ich stoliku. Chwiał się na swoich cienkich nóżkach, z ledwością trzymał pion, cuchnęło od niego przetrawionym alkoholem, a i stan jego higieny pozostawiał wiele do życzenia.

– Ryczące czterdziestki? – oburzyła się wtedy Karina, która miała chyba najbardziej cięty język z ich czwórki.

Facecik na szczęście zdążył się już oddalić, czkając im jeszcze na pożegnanie.

– Ja wam udowodnię, że to nie znaczy nic złego. Włączę tylko komórkę i zaraz wam wygoogluję!

I wygooglowała.

– Tak piszą w Wikipedii... – zaczęła czytać powoli, mrużąc przy tym oczy, bo kokieterycznie nie założyła

okularów, chociaż spoczywały sobie spokojnie w jej pękatej torebce. – *Ryczące czterdziestki, z angielskiego Roaring Forties* – przeczytała tak, jak było napisane, zapominając zupełnie o tym, że w szkole średniej uczyła się angielskiego. – *Inaczej strefa ryczących czterdziestek to pas wód oceanicznych biegnący nieprzerwanie wokół południowej półkuli kuli ziemskiej, w przybliżeniu pomiędzy czterdziestym a pięćdziesiątym stopniem szerokości geograficznej południowej, wzdłuż którego wieją stałe wiatry zachodnie, o bardzo dużej prędkości, będące powodem częstych sztormów. Rejon związany z działalnością cyklonów w południowej strefie niskiego ciśnienia. Akwen trudny nawigacyjnie i niebezpieczny dla statków.*

– No, widzicie! – zatriumfowała Judyta. – To podobnie jak my. Też jesteśmy trudne. Jak cyklony.

Pozostałe przyjaciółki spojrzały po sobie zdumione. Judyta często wyskakiwała niczym filip z konopi z różnymi swoimi mądrościami i przemyśleniami, które nie do końca były zrozumiałe dla innych. Dziewczyny jednak nie skomentowały tego, nie zapytały, co autorka miała na myśli, bo mina doskonałego samozadowolenia, która odmalowała się na twarzy Judki, była tak entuzjastyczna, że zupełnie nie miały odwagi jej zniweczyć.

Tymczasem Karina parsknęła śmiechem.

– Dziewczyny, to nie wszystko – zaśmiewała się. – Posłuchajcie dalej! Ryczące czterdziestki to jeszcze nic. Wyjące pięćdziesiątki to dopiero coś!

Pozostałe przyjaciółki zawtórowały jej śmiechem.

– No czytaj, czytaj! – ponaglała ją Dorota.

– Wyjące pięćdziesiątki – kontynuowała Karina, kiedy jako tako zdołała opanować rozbawienie – jak napisali w Wikipedii, to *obszar rozciągający się pomiędzy pięćdziesiątym a sześćdziesiątym stopniem szerokości geograficznej południowej. Rejon ten znany jest z jednych z najsilniejszych wiatrów na Ziemi, występujących tam ze względu na brak jakiegokolwiek bariery w postaci większych mas lądowych. Ponadto na siłę wiatru ma wpływ występujący w tym rejonie zimny prąd morski – Prąd Wiatrów Zachodnich.* – Znowu zachichotała.

– A co nas czeka u kresu naszych dni? – ciągnęła, uspokoivszy się nieco. – *Na południe zaś od wyjących pięćdziesiątek rozciągają się bezludne sześćdziesiątki, pas wód Oceanu Południowego otaczający Antarktydę* – czytała. – Bezludne sześćdziesiątki zimne jak ta lodowata Antarktyda. Ja nie chcę! Ja się nie zgadzam! Nie chcę być bezludną zimną sześćdziesiątką! – To powiedziawszy, zaszlochała, już nieco wstawiona.

Ryczące czterdziestki...

A teraz wreszcie wyruszały w podróż swoich marzeń. Od trzech lat ją planowały, ale każdego roku coś stawało im na drodze. A to awans w pracy Judyty, a to operacja ślepej kiszki u Karinki czy też brak finansów w portfelu Heleny. Dorota też jakoś nie mogła się zorganizować, stale jakieś sytuacje rodzinne jej w tym przeszkadzały. I wreszcie nadszedł ten wymarzony dzień. Wszystko zostało związane na ostatni guzik, noclegi opłacone, plan podróży nakreślony, zakupy poczynione i nawet godzinne spóźnienie zawsze się spóźniającej Kariny nie było w stanie popsuć pozostałym dziewczynom humoru.

Wyruszały do Prowansji!

Było ich cztery, jak cztery słonie, zielone słonie z piosenki dla dzieci. Wprawdzie sylwetkami od słoni różniły się znacznie, jednak można powiedzieć, że podobnie jak one „kochały się jak wariaty”. Przyjaźniły się od wielu lat, ale kiedy tak się nad tym zastanawiały, nie mogły sobie przypomnieć właściwie od kiedy. Helena, Karina, Dorota i Judyta. Każda inna. Wszystkie miały swoje zalety i wady, jednak tolerowały się, szanowały i – co tu dużo mówić – lubiły. Poszłyby za sobą w ogień.

Helena miała zapędy przywódcze. To ona była organizatorką ich wszystkich wyjazdów, pomysłodawczynią i kapitanem na okręcie. To znaczy ma się rozumieć głównodowodzącą ich samochodowej

wyprawy. Jednak to, że lubiła rządzić, wynikało z jej przeszłości. To paskudny los zmusił ją do tego, żeby radziła sobie ze wszystkim jak facet. Wiarołomny mąż opuścił ją, kiedy dwójka ich dzieci miała po kilka lat. A właściwie nie, to nie on ją opuścił, to ona go wykopała ze swojego życia, kiedy dowiedziała się o jego notorycznych zdradach. Jedną mogłaby jeszcze wybaczyć, ale kilka? Co za dużo, to niezdrowo! Nazywała go wstrętnym trollem, leszczem, ale z roku na rok coraz rzadziej używała wobec niego tych epitetów, coraz rzadziej go wspominała. Jak sama mówiła, nie zamierzała gryźć własnego ogona, musiała pójść do przodu. I poszła. Teraz dzieci były już dorosłe, starszy syn studiował inżynierię biomedyczną, a córka po maturze wyjechała za chłopakiem do Irlandii i żyła swoim życiem. Helena natomiast była kosmetyczką, miała własny zakład, który urządziła w piwnicach starego jednorodzinnego domku odziedziczonego po rodzicach. Po ich śmierci udało się jej to miejsce całkiem ładnie odremontować, a że kredyty spędzały jej czasami sen z powiek, to już inna sprawa. Kiedyś była piękna niczym jej imienniczka Helena Trojańska. Teraz jej uroda nieco przygasła, nadal jednak przyciągała wzrok osobników płci przeciwnej.

Judyta dla odmiany była panną. Broń Boże powiedzieć o niej „stara panna”, obrażała się natychmiast, na śmierć. Skrzętnie ukrywała swój wiek, chociaż przyjaciółki doskonale wiedziały o tym, że wiosną skończyła czterdzieści dwa lata, tymczasem ona od kilku lat zarzekała się, że ma dopiero trzydzieści sześć i jest najmłodsza. I oczywiście, nie zaliczała się do owych „ryczących czterdziestek”. Najmłodsza była, to fakt, jednak czterdziestkę zdecydowanie zdążyła już przekroczyć.

Lubiła się stroić i szperać w ciuchach. Zawsze znajdowała coś wyjątkowego. Jej szafy pękały w szwach, sama już chyba nie pamiętała, co w nich jest, jednak niestrudzenie gromadziła coraz to nowe fatałaszkę, często kupowane za grosze, i cieszyła się nimi jak dziecko. Dopóki o nich nie zapominała, kiedy ginęły jak poprzedniczki w przepastnych czeluściach garderoby swej właścicielki.

Rodzice Judyty już dawno nie żyli, siostra miała własną rodzinę, swoje problemy i dla młodszej Judki nie starczało jej czasu. A Judka tę swoją samotność usiłowała maskować nonszalancją i zabawowym trybem życia, często nawet trzpiotowatością, jednak pozostałe dziewczyny doskonale zdawały sobie sprawę, że w ten sposób usiłuje ukrywać smutek i – co tu

dużo mówić – osamotnienie. Z zawodu była księgową, niedawno awansowano ją na główną księgową w zakładach produkujących odzież roboczą i wreszcie bez wielkich wyrzeczeń mogła sobie pozwolić na ten wymarzony wyjazd. Nie miała przecież innych wydatków.

Dorota natomiast pochodziła z zamożnej rodziny. Oboje rodzice byli prawnikami, powodziło się im od zawsze bardzo dobrze. Doris, jak mówiły na nią dziewczyny, miała kochającego męża, którego i ona kochała bardzo, ale zawsze starała się tę miłość starannie maskować żartami na jego temat, którymi sypała raz po raz.

– Mój Józek to stuprocentowy samiec alfa – miała w zwyczaju mawiać. – A ja nim tylko steruję.

Jednak wszyscy ich bliscy mieli świadomość, że te jej żarty ze ślubnego to tylko pozory. Dorotka skoczyłaby za swym małżonkiem w ogień i wodę, oczywiście gdyby zaszła taka potrzeba. Doczekali się trójki pociech, które dość wcześnie pojawiły się w ich życiu. Starszy syn Jasiak właśnie skończył studia i rozpoczął pierwszą pracę, dwie młodsze córki studiowały na pierwszych latach. Starsza zamierzała zostać prawnikiem, jak tata, a druga, o rok młodsza, od urodzenia artystka, była na pierwszym roku szkoły aktorskiej. Pani domu nie pracowała, mąż



prawnik doskonale sobie radził z utrzymywaniem rodziny, niczego im nie brakowało, a Doris z czystą radością zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. No i oczywiście troszczyła się o męża. Jednak pomimo nawału zajęć z powodzeniem znajdowała czas na spotkania i wyjazdy z przyjaciółkami.

I ostatnia z wielkiej czwórki, Karinka. Nie miała łatwego życia jako dziecko rodziców alkoholików. Nieraz była przez matkę wysyłana do sąsiadów, aby zebrać, kiedy tej zabrakło gotówki. Jakież to było dla niej upokarzające, ale jeśliby odmówiła, dostałaby nie lada cięgi. Była ładnym dzieckiem. Ciemne włosy, duże oczy, śniada cera. Później odebrano ją rodzicom i umieszczono w domu dziecka, zresztą ku jej wielkiej radości, skąd po kilku latach starań zabrała ją babcia. Spędziła u dziadków kilka szczęśliwych lat, można powiedzieć, najszczęśliwszych w jej życiu. Dziadek jednak wkrótce zmarł, babcia się załamała, nie potrafiła żyć bez swojej drugiej połówki i odeszła niedługo po nim.

Karina trafiła znów do domu dziecka. Dostała rentę po dziadkach, którą przez kilka lat odkładała. W końcu uzbierała się z tego całkiem spora sumka. Młoda kobieta marzyła o własnym mieszkanku, niestety to po dziadkach było państwowe. Kiedy miała osiemnaście

lat, poznała chłopaka, był od niej o trzy lata starszy. Pokochała go, urodził im się synek. Kiedy mały miał roczek, ukochany zginął napadnięty przez jakichś bandziorów, gdy wracał z pracy po nocce. Sprawców nigdy nie znaleziono. Znowu została na świecie bez bliskich, bo i jej pozał się Boże rodzice także odeszli, zapijając się na śmierć. Nie załamała się jednak, teraz miała dla kogo walczyć. Przecież nie była już sama, miała swego ukochanego synka, poza którym świata nie widziała. Pracowała ciężko, zrobiła kurs, zatrudniła się w zakładzie fryzjerskim i dorabiała, jeżdżąc po domach i strzygąc wszystkich, którzy mieli na to ochotę, od dzieci począwszy, na staruszkach skończywszy. Po dziesięciu latach uzbierała na maleńkie mieszkanko, dwadzieścia osiem metrów kwadratowych, które wtedy kosztowało sto tysięcy złotych. Dołożyła odłożone pieniądze z renty po dziadkach, wzięła trochę kredytu. Teraz jej dorosły już syn pracował w Niemczech jako instalator, powodziło mu się całkiem dobrze, a Karina wreszcie mogła się zająć własnym życiem. Poznała niedawno jakiegoś mężczyznę, ale na razie nie chciała dziewczynom niczego zdradzić na jego temat. Jednak one i tak doskonale wyczuwały, co się w życiu przyjaciółki dzieje, wiedziały, że niedługo wydobędą z niej wszelkie interesujące informacje na temat

nieznajomego, to była tylko kwestia czasu. Poza tym Karinka uwielbiała śpiewać, robiła to od dziecka, nawet kiedy było jej źle, kiedy w brzuchu burczało z głodu, ona, aby zapomnieć, śpiewała... I tańczyła.

– Judka, tu masz mapę – powiedziała władczym tonem Helena, podając wydrukowaną z komputera mapkę siedzącej na fotelu obok przyjaciółce. – Wprawdzie mam wpisaną drogę w GPS, ale nie dowierzam mu tak do końca. Wydrukowałam plan podróży i zaznaczyłam na nim naszą trasę, uwzględniając większe miasta. Proszę cię, kontroluj po drodze, czy dobrze jedziemy.

Judyta przez chwilę przyglądała się kawałkowi papieru, obracając go wte i wewte.

– Hela, ale ty wydrukowałaś mapę tylko w jedną stronę. A jak my wrócimy?

Dorota i Karina siedzące z tyłu parsknęły śmiechem. Helena zgromiła koleżankę wzrokiem.

– Judyta! Czyś ty rozum postradała? – Ostentacyjnie przewróciwszy oczami, obróciła mapę do góry nogami. – Teraz będzie dobrze?

Judyta zmarszczyła brwi, po czym uśmiechnęła się niewinnie.

– A! Rozumiem! No dobrze, już dobrze. Pani kierowniczo kochana, pani się nie denerwuje!

Nie sposób było się na nią denerwować.

*Aby poznać człowieka, trzeba zostać jego  
towarzyszem podróży.*

przysłowie tureckie

## CZTERY PRZYJACIÓŁKI WYRUSZAJĄ W PODRÓŻ DO PROWANSJI I NA LAZUROWE WYBRZEŻE.

Helena, Dorota, Judyta i Karina – każda z nich zmagą się z własnymi problemami, które wychodzą na jaw podczas wspólnej wyprawy. Helena, samotna kosmetyczka, Dorota, zamożna żona prawnika, Judyta, wiecznie młoda księgowa, oraz Karina, fryzjerka z trudną przeszłością – odkrywają, że podróż to nie tylko zwiedzanie pięknych miejsc, ale także konfrontacja z własnymi lękami i pragnieniami.

Czy uda im się znaleźć odpowiedzi na dręczące je pytania i wrócić do Polski z nową nadzieją na przyszłość?

wydawnictwofilialia.pl



Klub książki

ONA  
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

**FILIA**

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8402-010-4



9 788384 020104